Kraków, 1-go czerwca 1913 r.

Rok 9. Nr. 11.

Dzwonek.

Gazetka dla dzieci.

Dodatek do „Prawdy“ nr. 22.

Dzieci drogie!

Mały Romanek leżał już długo w łóżeczku i jakoś nie mógł usnąć. Różne myśli nasuwały mu się do główki, a między niemi i ta, że chciałby bardzo sam ułożyć jakiś wierszyk na cześć Matki Najświętszej. Miłe widać było Matce Bożej to pragnienie kochającego serduszka, bo pomogła Romankowi i po chwili złożył mu się taki wierszyk:

O Maryo, my Twe dzieci
Uciekamy się do Ciebie,
Bo my chcemy, my musimy
Razem z Tobą być tam w niebie.
O Maryo, wspomóż nas,
We dnie, w nocy, w każdy czas.*)

Dzieci drogie, i wy często mówicie Matce Najświętszej: „O Matko dobra, wspomóż nas, bo my chcemy, my musimy być z Tobą na wieki w niebie!“ Musicie, dzieci, bo was na to Pan Bóg stworzył, abyście były w niebie. Dla każdego z was jest tam śliczne mieszkanie, które czeka na ciebie dziecko, a Pan Jezus i Matka Najświętsza najgoręcej tego pragną, abyście wszystkie, bez wyjątku, do nieba się dostały. A jak tam się dostać? — zapytacie. Moje dzieci! jednego tylko na to potrzeba: mieć czystą duszę, wolną od grzechu. Pan Jezus nam to powiedział, gdy nauczał, że nic zmazanego, to jest nikt z grzechem nie wejdzie do nieba. Kiedy ja mam grzechy — i wiele —

*) Zdarzenie prawdziwe.

i wielkie — jakże się dostanę do nieba? — zawołasz. Nie lękaj się zbyt, dziecko. Prawda, grzech to złe wielkie, on nam niebo zamyka — ale Pan Jezus dobry wie, że nikt z nas nie może być całkiem bez grzechu. Więc, abyście się mogły dostać do nieba, ustanowił Pan Jezus sposób łatwy, a taki, który nam niebo potrafi otworzyć, choćbyśmy mieli najcięższe grzechy. Cóż to za sposób? Oto Spowiedź święta. Gdy się Pan Jezus ukazywał apostołom po swojem Zmartwychwstaniu, tak raz do nich powiedział: „Weźmijcie Ducha świętego! Którym grzechy odpuścicie, są im odpuszczone, którym zatrzymacie, są zatrzymane“. Odtąd Apostołowie i ich następcy, to jest Biskupi i kapłani odpuszczać mogą grzechy każdemu, choćby największemu grzesznikowi, jeśli tylko je szczerze wyzna przed kapłanem na spowiedzi, serdecznie za nie żałuje i chce się poprawić. Więc dzieci kochane, nie stracone dla was niebo, choć niejeden grzech popełniłyście; powiedzcie tylko grzechy wasze kapłanowi tak, jak pamiętacie, a Pana Jezusa serdecznie przeproście i przyrzeknijcie Mu, że będziecie się bardzo starały, aby się poprawić. Wtedy kapłan odpuści wam grzechy, a z kapłanem odpuści Pan Jezus. Oczyści duszyczki wasze, i uczyni was znowu dziećmi swojemi, da wam prawo do nieba. Niech wam dzieci dopomoże do takiej dobrej spowiedzi Najświętsza Matka. Módlcie się do niej często:

O Maryo, wspomóż nas,
We dnie, w nocy, w każdy czas.

W MAJU.

Majowe słonko światło leje
Na znojną pracę gospodarza,
Majowe słonko nam się śmieje
I rodzi kwiatki do ołtarza.

Od stóp krzyża, tam gdzie wioska,
Płynie echo przez dąbrowę,
Słychać głosy: „Matko Boska!“
Widać dziatek główki płowe.

Płyną głosy prosto z serca:
— Daj nam Matko deszczu, rosy
Daj nam chleba...
Dźwięczy nuta,
Bije echem aż w niebiosy.

„Módl się za nami
Chrystusowa
Matko, co kochasz wszystkie dzieci,
Spraw, by z nich wzrosła siła nowa —
Słońce, co mroki nam rozświeci!

Historya o wisience.

Ej jakaż to śliczna wisienka rosła sobie w małej wioseczce przy chacie wieśniaka. Liczyła już kilka lat i z każdym rokiem podnosiła się wyżej i wypuszczała nowe gałęzie.

Wieśniak pielęgnował ją starannie. Wiosną oczyszczał jej liście z liszek, na zimę owijał pień słomą. Zaprzestał chronić ją w ten sposób dopiero wtedy, gdy znacznie wzrosła nad ziemię.

I młodej wiśni było bardzo dobrze, ledwie minęła zima, ledwie słonko zaczęło mocniej dogrzewać, ona okrywała swe gałązki drobnymi pączkami. Z pączków wysuwały się wnet listeczki, rosły szybko, a temczasem słońce grzało coraz silniej. Pod jego promieniami budziły się uśpione muszki, wróbelki świegotały wesoło, z daleka wracały jaskółki. Na wierzchołek strzechy przylatywał z obczyzny do swego gniazda bocian. Spocząwszy nieco po drodze, zaczynał głośno klekotać, a wiśni, gdy głos ten posłyszała, zdawało się, że on mówi:

— O, jakżeś urosła!

Powietrze napełniało się gwarami, a równocześnie wkoło niej na ziemi tryskało życie z każdego zakątka. Przy płocie głóg obrzucał swe kolczaste gałązki zielenią, u jego stóp pokrzywy, miodunki, bylice tłoczyły się i usiłowały przerość się nawzajem. Dzikie ślazy rozpuszczały okrągłe listki, po-

tem na grzędach warzywa, młode ziemniaki, kukurydza i proso rozpanoszały się, grubiały, pędziły w górę. W najbliższem jej sąsiedztwie zieleniały grusze, jabłonki i śliwy, a wkrótce po wdzianiu liścia, stroiły się w śnieżne i różowe kwiecie.

Podówczas ukazały się i na niej kwiaty. W pierwszych latach było ich niewiele, lecz później, kiedy przybyło jej sporo gałązek, okwitała tak rzęsiście, że wydawała się ogromnym, białym bukietem. Ten czas kwitnięcia był najszczęśliwszym. Uczuwała wtedy bezgraniczną miłość dla chaty ze słomianą strzechą, dla drzew sąsiednich, dla kwiatów, które rosły na poblizkiej grzędzie. Kochała gorąco sine, pośród ciemno zielonych liści, wiechy tojadów, pękate, różowe piwonie, wonną rutę i miętę.

Kochała dzieci wieśniacze, które w jej cieniu śpiewały piosnki; gospodarza, który często zatrzymywał na niej zadowolony swój wzrok; gospodynię, która stawała w pobliżu jej gałęzek z niemowlęciem na ręku. Czasem dziecko sięgnęło rączką po jeden lub dwa kwiatuszki, matka zrywała je i kładła mu w drobną dłoń.

Nawet kiedy słońce zgasło i wieczór ogarniał ziemię, nie kończyło się szczęście wisieńki. Wtedy doznawała nowej rozkoszy. W jej gałęziach siadał słowik i wyśpiewywał najcudniejsze trele. Zaczynał bojaźliwym przyśpiewkiem, wydawał dźwięki nieśmiałe, słabe, jakby próbował swoich sił. Lecz wnet rozśpiewywał się, rozogniał i pieśń płynęła z jego piersi niewstrzymanym strumieniem. Była to przeciągła, to urywana, dźwięczna i rozkoszna, lub żałosna i miękka. I w odgłos jej wsłuchiwały się kwiaty ogrodu, drzewa wyniosłe, droga ciągnąca się przy domostwie, księżyc świecący wysoko na niebie. Nawet gospodarz, choć wracał zawsze strudzony, budził się niekiedy i mówił:

— Ach, jak ślicznie śpiewa słowik w naszym sadzie!

Po jakimś czasie milkły jego śpiewy, nadchodziło lato i jesień, a wisienka wciąż myślała: kiedyż ten ptaszek zacznie znów śpiewać? Gdy zaś następnej wiosny słowik rozgaszczał się ponownie w gałęziach, jej radość nie znała granic.

Otóż zdarzyło się, że pewnego razu przejeżdżał przez tę wioskę obcy książę. Podczas gdy jego konie popasały, on ze świtą oglądał wieś. I przechodząc, przy chatce naszego gospodarza zoczył wisienkę. W bieluchnym stroju kwiatów, smukła i hoża, tak podobała się księciu, że wszedł na podwórze wieśniaka i spytał, czy nie oddałby mu tego drzewa? Gospodarz z początku zdziwił się, lecz widząc, że cudzoziemiec nie żartuje i że drzewo istotnie przypadło mu do serca, zgodził się.

Książę wynagrodził go hojnie, kazał wykopać wisienkę i wysłał ją do swego zamku.

A wznosił się on daleko na brzegu morza. Szczytem swoim zdwał się sięgać chmur, a o stóp góry, na której był zbudowany, rozbijały się nieustannie gniewne bałwany oceanu. Białe i szare ptaki morskie siadały na jego strażnicach, często orły szumiały nad niemi. Zamek rozbrzmiewał głosami trąb i trąbek lub echami biesiad. Roiło się w nim od ludzi, na wałach żołnierze z błyszczącymi berdyszami odbywali straż, podwórze tętniło od koni rycerskich, a na schodach i posadzkach pokojów uwijała się służba i strojni dworacy.

Książę, który jeszcze nie wracał, kazał umieścić wisienkę na balkonie przy sali stołowej, w pięknej, złoconej kadzi. Widziała stądo gromny pas ślicznej ziemi, lasy, co owijały wieńcem górę zamkową, morze mieniące się barwami w słońcu, całe ruchliwe życie na zamku. Słyszała nieraz pieśni śpiewaków, którzy przybyli do zamku, okrzyki godowe, huczne wiwaty. Często żona księcia siadała przy niej, a troszczono się o nią ciągle.

Ale wisience było dziwnie smutnie. Nie bawił jej widok tysiąckroć rozleglejszy, nie bawił przepych dworu ani błyszczący wojownicy. Księżna, choć spojrzała ku niej niekiedy, nie miała nigdy w oczach tej życzliwości, co niegdyś wieśniacy; dźwięki muzyki nie upajały wisienki tak słodko jak pienia słowicze. I uroniła szybko kwiat a nawet więdnąć zaczęła.

Tak było i następnej wiosny. Tymczasem książę przyjechał, a widząc, że choć już rok minął od czasu przywiezienia drzewa, ono nie kwitnie i ledwie zieleni się, pomy-

ślał sobie, że ma, być może, mało powietrza i że należałoby je gdzieindziej umieścić. Kazał przeto przenieść ją do parku w zaciszne miejsce, kędy słonko ciągle grzało i wiatr rzadko przylatał.

I ustawiono ją pośród świerków i cisów, gdzie kosy często gwizdały, na wyniosłości, którą w dole zraszał szemrzący potoczek. Tam w dolinie ciągnęły się także grządki z kwiatami. Pochodziły one z dalekich stron i świetniały barwami, jak tęcze. Były wszystkie o wiele piękniejsze, niż tojad, i woń o wiele milszą nad woń mięty.

Lecz wisienka tęskniła za ojczystą glebą i nie widziała tej piękności, ani czuła woni. Myślała o ptaku, co witał ją z każdą wiosną swem klekotaniem, o dzieciach, które pobrawszy się za ręce, śpiewały w jej cieniu. I lato zeszło, a ona nie zakwitła. Książę był zdziwiony. Ogrodnik radził drzewo wyrzucić, bo nawet liście opadły szybko z jego gałązek. Ale na rozkaz pana przeniósł wiśnię do ogromnej cieplarni. Tu wspaniałość kwiecia była jeszcze większą, a do ścian zabudowania były przytwierdzone klatki z barwistymi cudzoziemskiemi ptakami. Spiewały i gwizdały, wybijały kuranty, ale tęsknoty wiśni nie zdołały rozpędzić.

Marzyło się jej wciąż o chatce ze strzechą, przy której wyrosła, o szarych wróblach, słowiku, dziecięciu gospodyni. Mimo ciepła i słońca poczęła schnąć.

Pamiętając jej dawną krasę, książę nie pozwalał jej zniszczyć. Sądził, że miała może dawniej grunt bardziej odpowiedni i wysłał ją do wsi, skąd pochodziła, dołączając nadto dla wieśniaka kilka podarków. Zdziwił się gospodarz, otrzymując drzewo, lecz ponieważ książę tego sobie życzył, zasadził je ponownie w swym ogrodzie.

I patrzcie, wiosną, gdy wiśnia ujrzała miejsce, gdzie rozwinęła się, swoje ptaki znajome, swoje drzewa, ledwie przyfrunęły pierwsze drogie jej jaskółki, okryła się bujnie liściem, a potem w kwiaty ustroiła się tak suto, że ledwie zieleń pośród nich można było dojrzeć. Tak dobrze i szczęśliwie uczuła się wisienka na swojej glebie.

Hej, witajcie, jaskółeczki.

— Hej, witajcie jaskółeczki,
Lećcie, lećcie tu!
Już się wioska przebudziła
Z zimowego snu.
Już skowronek jest tu z nami
I dzwoni wśród niw.
Z chat, na pola pełne słońca
Wyległ, kto tu żyw.
Z nami będzie wam radośniej,
Hej, witajcie, hej!
Nie zginęła też tam która
Z was, w wędrówce tej?
— Nie zginęła, powracamy
Z piosnką... tir — li — li...
Powiedziały nam za morzem
Porankowe mgły,
Że już wiosna w polskich wioskach —
Frunęłyśmy w lot
Przez pustynie, góry, morza
I jesteśmy ot!

Dwaj sąsiedzi.

Było dwóch sąsiadów, każdy z nich miał żonę i kilkoro dzieci, które żywili pracą rąk swoich. Jeden z nich bardzo często mówił: „gdy umrę, lub też chorować przyjdzie mi długo, co się wtedy stanie z moją żoną i dziećmi?“

Aczkolwiek te same myśli przychodziły i drugiemu ojcu, jednak nie frasował się niemi wcale; „bo“, mówił on, „Bóg, który zna wszystkie swoje stworzenia, i który czuwa nad niemi, będzie miał także staranie nademną, nad moją żoną i dziećmi„. Ta myśl uspakajała go, gdy tymczasem pierwszy nie używał na chwilę swobody, ani spokoju wewnętrznego.

Jednego dnia, gdy ten nieszczęśliwy ojciec pracował w polu, smutny i strapiony niepokojem o los swojej rodzi-

ny, spostrzegł kilka ptaków, wchodzących w krzak, wychodzących i znowu tamże powracających. Zbliżył się do tego miejsca zaciekawiony, i zobaczył dwa gniazdka usłane obok siebie, a w każdem kilkoro piskląt niedawno wyklutych, jeszcze bez piórek.

Nagle, w chwili, gdy jedna z samiczek powróciła z pełnym dzióbkiem pożywienia, jastrząb, schwyciwszy ją, unosi; biedna matka, napróżno szamotając się, wydaje okrzyk przeraźliwy.

Tym widokiem bardziej jeszcze zasmucony, pomyślał sobie: „śmierć" matki lub ojca, to śmierć dzieci. Cóż się więc stanie z moją rodziną, jeżeli mnie im zabraknie?" Resztę dnia był ponury, zamyślony i noc przepędził bezsennie.

Nazajutrz powracając z pola, rzekł sam do siebie: „chciałbym zobaczyć te małe pisklęta osierocone, z pewnością stały się pastwą jakiego drapieżnego ptaka, lub też zginęły od głodu".

Zbliżywszy się do krzaku, zastał je zupełnie zdrowe, ani jedno nie zdawało się cierpieć. To go bardzo zastanowiło, i ukrył się, chcąc zobaczyć, co się stanie dalej; wkrótce potem, usłyszał lekki szmer i postrzegł drugą samiczkę, niosącą spiesznie pożywienie, jakie uzbierała; rozdzieliła je wszystkim pisklętom bez różnicy, i sieroty nie były opuszczone w swojej nędzy.

Powróciwszy do domu, opowiedział sąsiadowi co widział, a który mu rzekł: dla czego się więc troszczysz o swoją rodzinę? Bóg nigdy nie opuszcza swoich, Jego miłosierdzie jest nieograniczone. Wierzmy, ufajmy, kochajmy Go, i postępujmy naszą drogą według przykazań Jego, a ten Ojciec pełen litości, który nie zapomina o pisklętach opuszczonych przez matkę, nie zapomni o doskonalszych stworzeniach swoich.

Gdy umrę przed tobą, ty staniesz się ojcem moich dzieci: jeżeli zaś ty pierwej umrzesz, ja będę ojcem twoich. A jeżeli umrzemy oba, zanim dzieci nasze będą w możności zaopatrywać swoje potrzeby, będą miały ojcem Tego, który jest w Niebiesiech.